TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"		DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"	
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 44. *Chicago, Ills., 28 Kwietnia, 1887 r.* Rok III.

NOC Z 3-go NA 4-ty GRUDNIA,

NA ZASADZIE AKT SĄDOWYCH

— opisał —

WALERY PRZYBOROWSKI.

I.

Trzy kwadranse na dwunastą w nocy, wybiło na wieży miejskiej i spiżowy odgłos zegaru, przyniósł wicher do salonu pana Z***, w którym kończono właśnie pulkę preferansa. Podsędek miejscowego Sądu Pokoju, zwany przez grzeczność sędzią, jak to wreszcie wszędzie u nas jest we zwyczaju, a zatem i w powieści taki sam tytuł nosić musi — otóż pan sędzia Kobylański powstał z krzesła z kwaśną nieco miną i rzekł:

— No przegrałem, jakoś karta mi dzisiaj nie szła.

— Ale bo też sędzio kochany licytowałeś do ośmiu, mając zaledwie proste — wtrącił jeden z grających.

— Licytowałem, licytowałem, to prawda, aleć przecie coś i losowi zostawić należy.

— Płaćmy panowie, przerwie inny, północ już blizko.

— O prawda! zawołał sędzia spoglądając na zegar, czas już spać. Pożegnajmy się z paniami i marsz do domu.

To mówiąc, zbliżył się do okna i spojrzał na ulicę.

— Piękny czas mamy do powrotu, psa by nie wygnał na świat.

— A sędzia masz taki kawał do domu.

— A kawał — cóż robić?

— Bo czemu się nie przeniesiesz tu bliżej, do środka miasta, odezwie się gospodarz domu.

— Dziękuję! odpowie sędzia — nie chcę narażać sobie zdrowia, oddychając waszem miejskiem powietrzem. Tam przynajmniej mam ogródek, widok, las blizki, naturę jednem słowem, a tu... zgnilizna.

— Zawsze się sędzia kocha w naturze?

spytała wchodząc do saloniku młoda kobieta, złotowłosa, wesolutka jakaś z wejrzenia i wpoiła w sędziego lazurowych ocząt dwoje.

— Zawsze panno Maryo, zawsze! ja bez lasu, drzew, łąki i kwiatów żyć bym nie mógł i nie rozumiem wreszcie takiego życia.

— Ot poeta! zaśmiał się jeden z obecnych.

Dziwnie dość wyglądały te słowa sielankowe w ustach człowieka już niemłodego, szczupłego, zeschłego jak pargamin, jakim był nasz sędzia Kobylański. Twarz miał szczelnie wygoloną, usta ścięte, czoło na pół łyse a resztę włosów siwizna już pruszyła. Trzymał się prosto i chód miał jakiś drewniany; całość była dziwnie apatyczna, obojętna w sobie. Był to pod pewnym względem i sądząc z pozoru, typ sądownika zaschłego w biurze, zakopanego w papierach i aktach; jedne tylko oczy ciemne, głęboko zapadłe, ogniste i przenikliwe, rzucały promienie z pod krzaczastych czarnych jeszcze brwi. Gdy towarzysz preferansowy zaśmiał się i rzekł:

— O — poeta!... Spojrzał na niego sędzia i odpowiedział:

— Poeta! — wam się zdaje, że ten który kocha nieco zieleni, któremu potrzebne świeże powietrze, zaraz musi być poetą. Poetą! mój Boże! jak gdyby to poeci rodzili się na zawołanie — dodał i wpatrzył się w pannę Maryę, która stała na środku saloniku, jak w święty obrazek.

— Już nie broń się mój Jasiu, odezwał się gospodarz, ale przyznaj, iż trzeba być trochę dziwakiem by obierać sobie mieszkanie nie tylko daleko od biura, na końcu miasta, ale jeszcze prawie pod samym cmentarzem.

— Jakże to pod samym cmentarzem? do cmentarza odemnie jest przecie kawał drogi, a wreszcie inna ulica tam prowadzi, a że go z okien widać, co to znaczy, owszem nadaje pejzarzowi pewien tęskny urok.

— Już ty sobie mów co chcesz, a ja bym tam za żadne nie mieszkał pieniądze.

— Czas do domu panowie, czas! dwunasta za pasem, zawołał jeden z gości.

Przerwano więc dyskusyą i zabrano się do wyjścia.

Trzej goście zaraz rozeszli się od drzwi domu w trzy różne strony, nam wypada iść za panem sędzią, który otuliwszy się w futro, szedł wolnym, miarowym prawie krokiem. Zimno było dokuczliwe i czas okropny. Wicher wściekły wył po ulicach miasteczka, mroźny i przenikliwy, porywał kłęby śniegu i ciskał nimi w górę jak białemi kolumny... Zrywał całe płachty śniegu z dachów, rozrzucał go i zaciemniał drogę. Świata na trzy kroki nie było widać. Na niebie płowem, ołowianem przesuwały się gnane gwałtownie czarne chmury. W krótkich przestankach, gdy wicher ucichał, było dość widno od śniegu, który zimowym nocom nadaje tę posępną, śmiertelną bladość trupów, bez wyrazu i siły, a jednak pełną grozy jakiejś wewnętrznej. Rzadkie olejowe latarnie na ulicach ciskały snopy żółtego światła, które drżało na śniegu jakby co chwila zgasnąć miało. W około pusto i cicho, tylko wicher ryczał i gwizdał jak stado dantejskich potępieńców i pies gdzieś samotnie wył, a odgłos jego wycia wicher przynosił, urywając co chwila. Noc to była smutna i posępna nad wyraz, jedna z tych nocy zimowych o których Szekspir mówi, że są w nich pewne tajemnice, szepty, szmery, głosy, które drżeniem śmiertelnem duszę ludzką przejmują. Taką też była „noc z 3-go na 4-ty grudnia 1848 roku", w jednem z miasteczek, o parę mil od kordonu austryackiego leżącem.

Pan sędzia szedł spokojnie przez całe miasto, otulając się szczelnie futrem i szepcząc od czasu do czasu.

— Niech djabli wezmą takie powietrze.

Na placu zwanym rynkiem spotkał stróża nocnego, który tulił się do muru i tupał nogami o bruk, chcąc je rozgrzać.

— Dobry wieczór, rzekł mu sędzia, niewesoło ci tu Marcinie?

— A! to pan sędzia dobrodziej — oj że niewesoło to niewesoło, cóż robić, trzeba na chleb zarabiać.

Mruknął coś niezrozumiale sędzia i wszedł wreszcie w ulicę na końcu której mieszkał. Tu zatrzymał się, poprawił na sobie futro i szepnął:

— Ba! dla czegóżbym się z nią nie miał ożenić? czym to ja taki już stary albo niedołężny. Z*** da mi ją przecie.

I ruszył znów dalej. Gdy doszedł do przecznicy, która pod kątem prostym przecinała jego ulicę i prowadziła na cmentarz, zegar miejski wygłosił dwunastą. Czy zegarzysko było stare, czy też wicher i noc nadawały jego głosowi dziwnie zgrzytliwy oddźwięk, dość, że sędzia się zatrzymał i szepnął:

— A też ta bestya piszczy jak puszczyk,

zaraz jutro powiem burmistrzowi, żeby raz przecie kazał ten zegar wyreperować. A! co za noc, co za noc!

I stał tak i słuchał bicia zegaru, którego głos wichrem niesiony to wzmagał się i rósł w potęgę, to cichł i konał jakoby daleki, przytłumiony. Zaledwie ucichły ostatnie dźwięki i w powietrzu drżał jeszcze spiżowy szmer dzwonu, gdy nagle od strony cmentarza wiatr przyniósł straszliwy, okropny i bolesny krzyk:

— Ratunku! ratunku! kto w Boga wierzy!

Krzyk to był pełen niezgłębionej grozy i rozpaczy, krzyk śmiertelny, rozlegał się w powietrzu i panował nad wichrem i burzą. Wpadł w uliczkę jak orkan, napełnił ją sobą.... i ucichł. Widno nie było już życia w tej piersi, która go wydała — z nim pękła struna żywota, stargana gwałtownie.

Sędzia stanął jak wryty, wstrząsł się cały, tyle było niekłamanej grozy w tym krzyku, obejrzał się w około, postąpił kilka kroków ku uliczce wiodącej na cmentarz, zatrzymał się znowu i począł nadsłuchiwać. Ale tylko wicher wył jak dawniej i miotał kłębami suchego śniegu, tłukąc oderwaną gdzieś z zawias okiennicą.

— Ej! mruknął, widocznie bestye pijacy biją się na drodze — i poszedł dalej.

Ale krzyk ten brzmiał mu ciągle w uszach, przedzierał się do duszy, budził dziwny, niepojęty przestrach, jak gdyby trąba archanioła, grzmiała tam gdzieś w głębiach, wśród czarnych chmur, poświstu wichru i grudniowej burzy. Gdy się już znalazł w domu, rozgrzał u ciepłego pieca, rozebrał, wdział wygodny szlafrok podbity futrem i siadł na fotelu miękkim, ciągle mu się zdawało, że wicher niesie owe rozpaczliwe słowa: „ratunku! ratunku"! i rozbija o szyby jego okien.

— Coś jednak stać się musiało, szeptał, taki krzyk tylko w obliczu śmierci pierś ludzka wyrzucić może.

Położył się do łóżka, ale zasnąć nie mógł, a jeśli zasnął, to rozbujała fantazya przynosiła mu okropne sceny morderstw i rzezi, w których on był głównym aktorem; ciągle słyszał, „ratunku! ratunku!" i zrywał się, przecierał oczy zimnym zlany potem, by zobaczywszy że jest u siebie, znów zasnąć i znów się w śmiertelnym zbudzić przestrachu.

Zmordowany taką nocą, zasnął dopiero silnie nad ranem — i spał tak smacznie, że nie słyszał jak ktoś wszedł do pokoju i budząc go wołał:

— Panie sędzio, proszę wstać.

Zerwał się nasz sędzia na równe nogi, przetarł oczy i ujrzał przed łóżkiem stojącego kapitana miejscowej żandarmeryi.

— Co się stało? co pan chcesz panie kapitanie?

— Jakto, pan nic nie wiesz?

— A nie wiem.

— Morderstwo dziś w nocy popełniono u nas.

— A więc nie omyliłem się! zawołał sędzia na w pół do siebie.

— Jakto pan nie omyliłeś się, co to znaczy?

— Zaraz! zaraz! opowiem panu, ale niechże się wprzód ubiorę, wszak musimy iść na miejsce zbrodni.

— A naturalnie, po to tutaj przyszedłem, posłałem trzech ludzi by pilnowali trupa i strzegli wszelkich śladów; już o 4-ej rano dano mi znać o tem. Szkaradna rzecz i to jeszcze u nas, u nas co od tylu lat najmniejszego wypadku tego rodzaju nie było.

Sędzia ubierał się gorączkowo, dziwnie zamyślony.

— Posłuchajże mię pan, panie kapitanie, bo i ja mam coś panu powiedzieć. Ale wprzód poślę po kancelistę.

Wybiegł i zaraz wrócił i opowiedział kapitanowi wczorajszy swój powrót do domu.

Kapitan wysłuchawszy zamyślił się i rzekł.

— Nie ulega więc kwestyi, że zbrodnię popełniono o północy, szkoda żeś mi pan zaraz nie dał znać o tem.

— Ale ba! myślałem, że się pijacy biją i basta. Jeżeliś pan tylko ubezpieczył ślady zbrodni, to zaraz się czegoś dowiemy; mamy już bardzo ważną wskazówkę dzięki wypadkowi, że wiemy o czasie popełnienia zbrodni.

Sędzia mówił to dziwnie szybko, ruchliwy był cały, ożywiony, uśmiechnięty prawie. Oczy mu świeciły niezwykłym blaskiem.

— No, ubrałeś się pan to chodźmy.

— Zaraz, musimy poczekać na kancelistę, protokół przecież trzeba spisać.

Potem nagle obracając się do kapitana, spytał:

— O jakim czasie panu dano znać o zbrodni?

— O czwartej rano.

— Kto panu doniósł?

— Żandarm wracający od granicy.

— Czy ten żandarm jest?

— Jest.

— To dobrze, każ mu pan, żeby był obecny przy spisaniu protokółu na miejscu zbrodni. Lekarza pan zawiadomiłeś?

— Zawiadomiłem i czeka na nas.

W tej chwili wszedł kancelista, figurka maleńka, zgarbiona, pokorna, o dużej, nieproporcyonalnej głowie, włosach krótko strzyżonych. Niósł pod pachą plik papierów, a z kieszeni wyglądała mu paczka piór gęsich, bo wówczas jeszcze gęsiemi pisano piórami. Ukłonił się nizko sędziemu, jeszcze niżej żandarmowi i czekał, rzucając maleńkiemi oczkami niespokojnie i krzywiąc się niemiłosiernie.

— Więc chodźmy.

Ruszono z domu i zabrawszy po drodze lekarza, stanęli wkrótce na miejscu zbrodni. Obraz jaki im się przedstawiał miał coś okropnego w sobie.

II.

Było w pół do dziewiątej rano, kiedy stanęli na miejscu: sędzia, kapitan żandarmeryi, lekarz miejski i pisarz sądowy. Po burzliwej nocy nastąpił poranek cichy i stosunkowo dość ciepły. Zanosiło się na zupełną odwilż. Śnieg był miękki, a nagromadzony przez wicher w wielkie zaspy, topniał już gdzie niegdzie. Gwałtowna nad ranem zaszła zmiana w powietrzu.

Kiedy się zbliżali ku cmentarzowi, ujrzeli zdala gromadkę ludzi ciekawie koło jednego miejsca krążących. Położenie zaś było takie. Ulica prowadząca do cmentarza kończyła się od niego o jakie dwieście kroków, dalej szedł bity trakt; od traktu zaś na prawo ciągnęła się zwyczajna droga, długa na pięćdziesiąt kroków, wprost do bramy cmentarnej. Cmentarz był otoczony murem w ten sposób zbudowanym, że mur, droga i trakt, tworzyły doskonały trójkąt, którego podstawą był mur, a wierzchołkiem punkt zetknięcia się traktu z drogą.

Otóż w tym trójkącie, o kilka kroków od muru cmentarnego leżał trup mężczyzny dobrze zbudowanego, barczystego i zda się pełnego siły. Leżał on na wznak z jedną nogą zgiętą w kolanie i pod tułów podsuniętą, druga była wyciągniętą. Ręce miał dziwnie ułożone, lewa oparta na śniegu, palcami jak szponami wpiła się w ziemię, prawa zgięta w łokciu kryła się za plecami. Głowa, na której znać było bujny czarny włos, była straszliwie zeszpecona, tak dalece, że niepodobna było rozpoznać rysów twarzy. Śnieg w około głowy literalnie krwią był zlany, włosy zlepione zgęstniałą krwią całymi promieniami układały się na śniegu. Ubrany był w dostatnią czamarę siwymi barankami podbitą, w łosiowe spodnie i buty palone, lakierowane. Czamara była gwałtownie rozdarta na piersiach tak, że guzik urwany wisiał w pętlicy szamerowania. Na piersiach przez kamizelkę i koszulę krwawiło się kilka ran, widocznie ostrem narzędziem zadanych.

Na około trupa śnieg był stratowany, choć zawieja nocna zasypała nieco ślady. Z ogólnego jednak widoku wnioskować można było, że walka była straszna, uparta, nieubłagana. Noga lewa, zgięta, miała na kolanie ślady śniegu mocno przylepione. Widocznie zamordowany przyklęknąwszy bronił się rozpaczliwie, ze strasznem wysileniem człowieka pełnego życia i chcącego żyć jeszcze.

Sędzia stanąwszy nad trupem, zwrócił się do kapitana i rzekł:

— Każ pan podwładnym oddalić lud, niech nam nikt nie przeszkadza i zarazem przywołać żołnierza, który pierwszy zbrodnię spostrzegł. Sami zaś panowie, proszę, chodźcie ostrożnie, i o ile możności nie ruszajcie się, żeby śladów nie zdeptać! O! śnieg to zdradliwa rzecz dla zbrodniarzy i złodziei:

To mówiąc, nachylił się nad trupem i wpatrzył się w niego ciekawie — po chwili powstał i z oczami pełnemi piorunów, szepnął ściskając pięście.

— Ha! zbrodniarze, jakże się pastwili.

— A zwracając się do lekarza dodał:

— Panie konsyliarzu, proszę pana bliżej.

Doktor się zbliżył.

— Co pan sądzisz o tem morderstwie? czy nie możnaby głowy jakim sposobem z krwi obmyć, żeby twarz rozeznać!

— A dla czegóż nie? ho! ho! dodał nachylając się nad trupem, co tu ran? Jedna, dwie, trzy, cztery... a! niechże ich! pięć uderzeń w samej piersi, szyi i brzuchu, widocznie sztyletem zadanych.

— A uważacie panowie, wtrącił kapitan, jak się ofiara musiała bronić, jakie ubranie ma na sobie poszarpane, pomięte!...

Jakoż tak było w istocie. Szamerowanie u czamary poodrywane, rękawy rozdarte, kołnierz u koszuli wisiał na pół urwany; kawałki baranów siwych rozrzucone do koła — wszystko to dowodziło walki upartej acz bezsilnej, niestety!

Teraz sędzia począł oglądać grunt. Koło zwłok ofiary, jakeśmy rzekli, śnieg był gwałtownie stratowany, gdzie niegdzie nawet widać było ziemię i szarą trawę zgniłą, silnie w mokrą ziemię wdeptaną. Nieszczęściem nocna zawieja zasypała wszystko śniegiem, nie na tyle jednak, żeby niektórych śladów nie można było rozpoznać.

Slady te począł sędzia skwapliwie oglądać. Twarz mu się wyciągnęła, oczy iskrzyły, nozdrza rozdymały. Ukląkł na śniegu i patrzał.

Najprzód rozróżnić można było stopy ofiary, — buty były nowe, na wysokich obcasach, eleganckie i zgrabne łatwo się w śnieg wrzynały, ile że nogi stawiano silnie i szybko. Kroki były zygzakowate, nieregularne, znać było, że ofiara szła tyłem, cofając się przed zbrodniarzami, którzy ją w końcu dosięgli.

Inne ślady wskazywały mężczyznę w butach dużych, podbitych pod podeszwą gwoździami; nogi były wielkie i stawiały kroki szerokie, nieregularne. Ślady te znać było gęsto koło ofiary, poczem kierowały się ku murowi cmentarnemu.

Sędzia poszedł za nimi w towarzystwie swych pomocników. Ślady dosięgłszy muru cmentarnego, ciągnęły się jeszcze kilka kroków wzdłuż niego, poczem nagle ginęły. Pomimo najtroskliwszych poszukiwań odnaleźć ich nie można było.

— Prawdopodobnie śnieg je zasypał — szepnął kapitan.

— Czyby nie wypadało, wtrącił nieśmiało milczący dotąd kancelista, obejrzeć mur cmentarny? być może, że zbrodniarz wdrapał się na niego i poszedł dalej cmentarzem.

Sędzia z pewnem zdziwieniem spojrzał na swego pisarza i rzekł:

— Może pan masz racyę panie Łopatkiewicz.

Tak się bowiem niefortunnie nazywał kancelista.

Obejrzano troskliwie mur, nic, najmniejszego na nim znaku, najmniejszego odrapania, które przecież musiałoby mieć miejsce przy gwałtownem wdzieraniu się na niego.

Kazano jednemu z żandarmów wejść na mur. Mur był gruby na łokieć, można było po nim wygodnie iść. Na wierzchu także najmniejszego znaku. Burza nocna zmiotła najdrobniejszy pyłek śniegu. Z drugiej strony muru od cmentarza śniegu było dosyć, ile że miejsce było zaciszne i dobrze osłonięte; lecz śnieg znaleziono nietkniętym, białym i czystym.

— Straciliśmy trop, rzekł kapitan — gdzie ta szelma podziać się mógł, przecież w ziemię się nie zapadł?

Sędzia milczał i dumał. Po chwili podniósł głowę i rzekł:

— Każ pan panie kapitanie, sprowadzić tu grabarza.

— Prawda! zawołał kapitan uderzając się w czoło, wszak tu jest grabarz, przecież musiał coś słyszeć przynajmniej. Hej! sprowadzić mi go tu zaraz!

Dwóch żandarmów pobiegło na cmentarz.

Sędzia wrócił się do ofiary i badał inne ślady. Było ich jeszcze dwa rodzaje — jeden z nich w głębokie wprawił zdumienie obecnych. Odbijały one jak najwyraźniej stopę maleńką, obutą w zgrabny, wytworny prawie bucik. Ślad ten zatrzymał się zdala od ofiary na kilka kroków i szedł widać na końcu, bo w niektórych miejscach nastąpił na pierwszy ślad butów gwoździami podbitych. Tam gdzie się zatrzymał, znać było dwie maleńkie nóżki tuż przy sobie stojące. Około nich śnieg był lekko poruszony, starty. Widocznie była to kobieta w długiej sukni, kobieta z wyższego eleganckiego świata, co znamionowało nietylko nóżka mała, zgrabna, wytwornie obuta, ale i długa suknia.

— Jest więc i kobieta, mruknął lekarz.

— Ba! gdzieżby jej nie było — rzekł sędzia! i badał drugi ślad.

Ten pokazywał nogę większą, szeroką. Trudno było rozpoznać co ona miała na sobie, bo obcasów znać nie było, była też cała nie kształtna. Ślad ten ciągnął się do samej ofiary i krzyżował tutaj z butami gwoździami podbitymi. Sędzia badał go usilnie i tuż przy trupie znalazł pęk włosów wełnianych, brunatnych.

— Był w berlaczach! szepnął, wielkie jakieś pany. Zawikłany to musi być dramat, ale ja go wyjaśnię!

To mówiąc wyprostował się, przetarł czoło i dalej badał. Ślad od trupa wrócił się ku kobiecie stojącej zdala, zkąd razem kierowały się ku traktowi. Tu przy samej drodze ginęły stratowane kopytami końskiemi. Slad pojedynczego konia wiódł i do trupa samego.

— Więc tu konie stały? rzekł kapitan.

— To mój koń panie kapitanie, wtrącił żandarm, wspiął się tutaj i nie chciał iść dalej, ztąd śnieg tak jest podeptany.

Sędzia nagle zwrócił się do żandarma.

— A! więc to ty pierwszy spostrzegłeś zbrodnię?

— Ja panie sędzio.

Opowiedz jak to było.

Żandarm się wyprostował jak struna i rzekł:

— Kiedym nadjechał w to miejsce traktem, a jechałem dobrym kłusem, bo zimno było i wiatr przenikł mię do kości, choć miałem kożuch...

— Do rzeczy! do rzeczy! przerwał kapitan.

— Słucham pana kapitana! kiedym więc nadjechał, nagle koń mi się wspiął, począł parskać, i pomimo, żem go dobrze ostrogami łechtał, nie chciał iść dalej. Strach mię wziął, bo cmentarz pod bokiem, a dusze po takich nocach i zawieruchach lubią spacerować. Patrzę... a tam pod murem coś się czerni na śniegu. Zawierucha już ustawała i gwiazdy nieco świeciły. Więc myślę sobie: ej, to tu coś innego jest nie dusza — więc wyjąłem pistolety z olster, obejrzałem skałki i marsz z koniem w tę stronę. Ale koń spina się, dęba staje, parska, a drży jakby nieprzymierzając człowiek — ale, ja znam mego konia, bo to dobre stworzenie i wiem, że łagodnością więcej z nim zrobi jak batem, więc pogłaskałem go, uspokoiłem i przecie ruszył naprzód. I zobaczyłem trupa, który tak leżał jak leży teraz. Więc zaraz wskoczyłem na konia i do p. kapitana...

— Która mogła być godzina wtedy? spytał sędzia.

— Kiedym stanął w mieście biła na wieży czwarta.

— To dobrze kochanku, odrzekł sędzia nie odchodź, bo musisz to jeszcze raz powiedzieć do protokółu. A grabarz czy już jest?

— Jest panie sędzio, i wachmistrz wskazał człowieka opodal stojącego.

— To dobrze, a zwracając się do kapitana rzekł, każ pan z łaski swej sprowadzić wszystkich mieszkańców najbliższych domów.

Kapitan wydał rozkazy.

Sędzia zwrócił się do grabarza.

— Chodź tu!

Grabarz zbliżył się. Był to mężczyzna ogromnego wzrostu, tęgi, barczysty, o twarzy ponurej, głupowatej i zwierzęcej. Ubrany był w długi po kolana kożuch, przepasany sznurkiem i w buty z cholewami. Drżał na całem ciele gdy stanął przed sędzią i pokornie trzymał czapkę w ręku.

— Mój kochany jak się nazywasz?

— Postrach, proszę wielmożnego sędziego.

— Gdzie mieszkasz?

— Tu na cmentarzu.

— Dużą masz izbę?

— Tak ta! izbę i izbę.

— Czyś żonaty?

— Ej nie, na bezrok odumarła mię żona i teraz ostałem sam.

— Ciepło masz w izbie?

— Tak ta, pali się ta, to i ciepło.

— To dobrze, idź przed nami i prowadź nas do siebie.

Chłop ruszył, a sędzia postępując za nim, bacznie badał ślady stóp grabarza. Ale buty miał nowe, bez gwoździ, tylko obcasy podkówkami podbite.

— Hej Postrach! zawołał sędzia.

Grabarz odwrócił się.

— Dawno te buty masz na nogach?

Chłop otworzył gębę szeroko, oczy wytrzeszczył i rzekł jąkając się:

— Te buty, proszę wielmożnego sędziego... te buty... kupiłem je na jarmarku ostatniej niedzieli.

— A! ostatniej niedzieli? no, nic... nic...

czego drżysz, przecież cię nie zjem. Widzisz, teraz mamy czwartek, a buty widzę całkiem jeszcze nie używane — pokaż podeszwy.

Jakoż podeszwy były białe, świeże, choć pleśnią pokryte.

Czy masz drugie buty?

— Nie, nie mam proszę wielmożnego sędziego, odrzekł chłop śmiało.

— To dobrze, proszę cię, postaw tu nogę.

I kazał mu nogę postawić na śladzie w gwoździe zaopatrzonym. Noga grabarza była nieco mniejsza.

— No nic, idź do izby, przygotuj stół i ławy, my tam zaraz przyjdziemy. Żandarmi nie opuszczajcie go ani na chwilę.

Dwóch żandarmów prowadziło grabarza.

— A teraz panowie, musimy spisać protokół – a ponieważ tu trochę zimno i nie ma się gdzie umieścić, więc zajmiemy mieszkanie grabarza. Panie kapitanie, każ pan ludziom wziąć trupa, i zanieść do izby grabarza.

Kiedy podniesiono trupa, z zanadrza wypadł mu zegarek z brzękiem na ziemię. Zegarek był złoty, gwałtownie urwany od łańcuszka wiszącego u kamizelki. Sędzia podniósł zegarek, obejrzał go, a pokazując kapitanowi, rzekł:

— Patrzcie panowie, stanął na dziesięć minut przed dwunastą. Zegarek jest piękny i dobry, tylko coś gwałtownego mogło go zatrzymać. Dowodzi więc, że walka trwała dziesięć minut, bo ja punkt o dwunastej słyszałem ten straszny krzyk. A coś okropnego, coś okropnego!

Zwrócił się do trupa, którego układano na noszach i prostowano pogięte członki. Oglądając go troskliwie dostrzegł, że w prawej ręce, którą leżąc miał ukrytą pod sobą, ofiara zbrodni trzymała kawałek jakiejś szmaty. Z trudnością udało się otworzyć rękę silnie zaciśniętą, i wówczas sędzia wziąwszy ową szmatę, ciekawie ją oglądać począł. Nagle zbladł jak ściana i zachwiał się na nogach. Otrząsł się jednak zaraz i oddając szmatę kapitanowi rzekł:

— Ważny dokument — kawałek szalu kobiecego.

I ruszył na cmentarz w towarzystwie lekarza, kapitana i kancelisty, a za nimi żandarmi ponieśli zwłoki zmarłego.

Tak, tak, rzekł kapitan, widocznie to szal kobiecy, są nawet frendzle, szal piękny, kaszmirowy. Tak, to ważny dokument.

Lekarz to samo potwierdził i dodał:

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Ita Hrabina na Toggenburgu.

Historya prawdziwa z XII wieku,
wielce nauczająca — osobliwie dla niewinnie cierpiących,

— przez —

KRZYSZTOFA SZMIDA

przepolszczona przez Ks. E. W.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ VI.

Wytrwałość Ity wśród pokus niebezpiecznych.

Podobnie zaś, jak dobry i czuły Ojciec zakazuje dzieciom, aby się zanadto uciechom nie oddawały, i tam się wstrzymuje z dobroczynnością, gdzieby się uciechy i dobrodziejstwa mogły stać szkodliwe, i często surowo zarządza dziećmi, by doświadczyć ich ku sobie w miłości i uczynić im mające później nastąpić uciechy tem przyjemniejszemi i pożyteczniejszemi — tak i Bóg, nasz Ojciec pełen dobroci i mądrości, postępuje z nami, swemi dziećmi. Podaje niejednemu poczciwcowi kielich boleści tam, gdzie nadmiar dobrego mógłby zaszkodzić. Żąda, aby dobrzy, doświadczeni w cierpieniach, jeszcze lepszymi się stawali; aby się nauczyli cenić prawdziwe i niezmienne szczęście na ziemi: cnotę i bogobojność — i aby dojrzewali do lepszego jeszcze wiecznego szczęścia w niebie. — Z Henry-

kiem i Itą podobnie sobie Pan Bóg postąpił i w tym zapewne ojcowskim zamiarze na mieszkańców zamku Toggenburgskiego dopuścił kielich goryczy. Ita go spełniła do ostatniej kropelki. Powód był następujący: Pomiędzy służącymi Henryka, znajdował się niejaki Dominiko, rodem z Włoch. Byłto przebiegły dworak, zręczny w swym zawodzie, grzeczny i ujmujący w obchodzeniu, w rozmowie nie szczędził pochlebstw, osobliwie zaś umiał sobie zręcznie ująć serca innych. Wkrótce sobie zjednał zaufanie Henryka, i wszyscy go też szanowali i kochali. W oczach bogobojnej hrabiny Ity uchodził za poczciwego, nie odmawiała mu więc swego szacunku. Lecz oszukała się na nim, tak samo jak hrabia Henryk i wszyscy. Bo Dominiko obok wszelkich przymiotów, był lubieżnym i prawdziwym niewolnikiem ochydnego nałogu rozpusty. Nawet niewinna Ita stała się mimowolnie celem jego lubieżności. Obchodząc się z wszystkimi domownikami z przychylnością i poważaniem tak samo i ku Dominikowi postępowała; a ponieważ posiadał zaufanie jej małżonka, osądziła za rzecz roztropną poważać go szczególniej.

To tedy postępowanie hrabiny uznał Dominiko jako podchlebiające swej panującej namiętności; przypisywał sercu Ity zamiary, jakie się w jego własnem mieściły, i stał się ku niej coraz bardziej natrętnym i śmiałym. Ita, każdego za tak cnotliwego uważała, jak była sama, stłumiała w sobie wszelkie zarody podejrzenia; upatrując wszędzie dobrą stronę, uniewinniała wszystko, jak tylko najdłużej było można. Gdy zaś coraz to więcej wpadającem w oczy obchodzenie się jego spostrzegła, stała się w obejściu z nim ostrożniejsza, surowszą, karząc wszelkie i najmniej dwuznaczne słowo pogardą i wstrętem.

Ale im więcej cnota poczciwego wzrasta w piękność wewnętrzną, tem bardziej niepochamowaną staje się namiętność zbrodniarza. Dominiko nie zaniechał swych ochydnych zamiarów, oczekiwał tylko dobrej sposobności, której mu zaufanie Henryka niedługo nastręczyło. Odezwał się jednego razu w obec bogobojnej hrabiny z tak ochydnemi oświadczeniami, jakie każdą zamiłowaną w swej dobrej sławie i poczciwości mężatkę i pannę przerazić i wielką bojaźnią i zgryzotą napełnić są w stanie.

Ita odepchnęła go z oburzeniem i odrazą, lecz zatwardziały w swej złości, nie zważał jej słów karcących, jej sprawiedliwego oburzenia. Ita opuszczona od wszystkich ludzi — była albowiem na drodze prowadzącej z zamku do parafialnego kościoła, sama jedna z Dominikiem wśród lasu — zwróciła swe niewinne serce głośno płacząc i wołając ku niebu, błagając od Boga pomocy, a głos jej przebił niebiosy, i pomoc w sam czas się zjawiła. Bo czyliżby nie było grzechem wątpić o tem, że Bóg, najtroskliwszy Ojciec wszystkich, a osobliwie dobrych i pobożnych swych dzieci, tę swoją gorliwą służebnicę w tem największem niebezpieczeństwie wysłuchał! Kuno, giermek Henryka, który był właśnie na polowaniu, przybiegł szybko na krzyk Ity i przeszkodził swem zjawieniem się, że szkaradne zamiary zbrodniarza nie zostały spełnione. Ita uznała w nim posłańca niebios, na klęczkach dziękowała Wszechmocnemu za ojcowską pomoc, podczas gdy Kuno dzikiemu zbrodniarzowi śmiercią i zniszczeniem zagrażał, i zapowiadał, że w więzieniu będzie oczekiwał kary za swe czyny ochydne. Lecz pobożna Ita była innego zdania. Nietylko słowy, lecz i chrześciańskimi postępkami pragnęła okazać swą serdeczną wdzięczność ku Bogu. Nic zaś piękniejszego, nic wznioślejszego nie mogła uczynić, jak przebaczyć nieprzyjacielowi, który ją obraził, podobnie Bogu, który przebacza obrażającym go, nie żądając ich śmierci, lecz aby się nawrócili. Nie mogła uczynić nic więcej bohaterskiego nad to, że w tej trudnej walce poszła za przykładem swego Zbawiciela, który z krzyża przebaczył swym zabójcom i błagał dla nich Ojca niebieskiego o łaskę i miłosierdzie. Pełna tych świętych myśli, chcąc prawdziwie naśladować Jezusa Chrystusa i gorącą miłością ku Bogu i bliźnim swym pałając, zwróciła swe słowa do Kuna, wyrzucając mu z łagodną surowością jego popędliwą chęć zemsty. Zaczęła mu wystawiać wielkie miłosierdzie Boże, tak wielce potrzebne każdemu człowiekowi dla mnogiej liczby codziennych grzechów, które ludzie popełniają, a których odpuszczenie, wedle słów Jezusa Chrystusa najpewniej dostąpią, jeśli odpuszczą swym bliźnim, staną się godnymi miłosierdzia Bożego, jeśli sami będą miłosierni. Poczem z współczuciem i ze łzami w oczach zwróciła się do Dominika, przebaczyła mu zupełnie jego haniebny postępek i dodała prośbę, aby się starał szczerą poprawą uzyskać sobie także miłosierdzie i przebaczenie, Boże. Kunowi zaś, którego to mocno obeszło i zdziwiło, za-

leciła, aby ani Henrykowi, ani komu innemu o całym tym wypadku żadnem słowem nie nadmieniał.

Kuna najbardziej tem ujęła, gdy mu ojcowskie miłosierdzie Boże do pamięci przywiodła. Przejęty w głębi swej czułej duszy prawdziwą czcią ku Bogu i uszanowaniem ku pobożnej i niewinnej hrabinie, choć mu się to za trudem zdawało, przyrzekł jednak być posłusznym tem bardziej, że już wprzódy, a teraz jeszcze więcej, każdy rozkaz hrabiny uważał za święty. Zbrodniarz Dominiko uciekł do obłudy, przybrał pozór, jakoby żałował głęboko swego kroku, obiecał nie wracać do swego nałogu i być dobrym; dziękował za tę prawie bezprzykładną pobłażliwość; za litość i łaskę. Lecz mimo to pozostał takim, jakim był wprzódy, wierutnym i bezbożnym łotrem. Kunowi, który mu przeszkodził, gotował najokropniejszą zemstę. — Jakże okropnie spełnia się tu prawda słowa Bożego: „Ani wszetecznicy, ani lubieżnicy, ani cudzołożnicy, nie dostąpią królestwa niebieskiego (kor. 6. 9.) bo bardzo mało takich się nawraca, a najwięcej z nich ginie w grzechach i występkach. Przeciwnie zaś, o jakże wzniośle jaśnieje bohaterska cnota przed oczyma Ity, która wedle świętej wyroczni Boga, że cnotę każdej chwili obroni, została nieskalaną i naśladując Zbawiciela, zdołała mieć litość dla największego nieprzyjaciela i uważnym go uczynić, iż winien myśleć o własnym ratunku i potrzebnej poprawie życia. Zapewne, że tak postępuje ten który nietylko z imienia jest chrześcianinem, lecz w którego sercu słowo Boże żywo panuje i w którego życiu prawdziwy chrześcianizm widocznie czynnym się okazuje.

ROZDZIAŁ VII.

Małżeńskie szczęście Ity zaczyna znikać.

Obchodzenie się Ity z Dominikiem nie zmieniło się znacznie po tym szkaradnym wypadku; postępowała z nim z wszelką przystojnością i godnością, starając się ukryć odrazę powziętą ku niemu, aby nie przeszkadzać jego poprawie, której się po nim spodziewała, i aby nie wzbudzać podejrzenia innych. Kuno z początku ledwie powstrzymywał sprawiedliwe oburzenie ku Dominikowi i jedynie za powtórnym rozkazem hrabiny zdołał stłumić swą głęboką niechęć ku niemu. Tym sposobem cały wypadek został utajony.

Tymczasem Dominiko, jako przebiegły dworak, wcześnie pomiarkował, że Ita poczciwego giermka Kuna, jako swego wybawiciela od grzechu i hańby szczególniej poważała, i w tem właśnie spodziewał się znaleźć najpewniejsze środki, aby dokonać zaprzysiężoną swą okropną zemstę na Kunie, a przytem i na hrabinie.

Jak niegdyś na poczciwego Joba, zapewnie tak i na tych małżonków, żyjących w świętej chrześciańskiej zgodzie i miłości w zamku Toggenburgskim, często i wielokrotnie zwracał swój zazdrosny i obłudny wzrok ojciec grzechu, czart przeklęty, i niezawodnie szukał sposobności i środków, aby ich swemi sztuczkami unieszczęśliwić i od wierności ku Bogu odwieść. Środki i sposobność ku temu znalazł w Dominiku, którego serce było otwarte na podszepty piekielne, i wola nie mniej gotowa, aby je wiernie wypełnić. Ponieważ Henryk więcej ufał i wierzył w Dominika niż w samego siebie, było dla Dominika bardzo łatwą rzeczą, szkaradnemi kłamstwy i djabelskimi podstępami wzbudzić w sercu hrabiego zazdrość, tego anioła tępiciela małżeńskiego spokoju; a gdy mu się ten zamiar doskonale udał, powstała w nim jeszcze raz nadzieja, że mu się uda spełnić swe występne zamiary ku Icie wymierzonę.

Lecz i tą razą się oszukał, bo cnota, która w Bogu ma swe silne oparcie, nie ulegnie nigdy zabiegom występnych. Ostatnie jego zapędy, nie wzruszyły w Icie bynajmniej małżeńskiej wierności i miłości ku Henrykowi. Więc zatwardziały zbrodniarz zaprzysiągł, iż ją zgubi i zniszczy. — Aby tego dokonać, nie potrzebował więcej, jak tylko już raz wznieconą zazdrość w sercu Henryka, pierwej dla Ity tak przychylnem, coraz bardziej wzmacniać i żywić; pożądany skutek musiał nastąpić. Bo jak dobry człowiek wszystko widzi z dobrej strony a często nawet istotne błędy na dobrą stronę wykłada, tak znowu zazdrośnik wszędzie złe tylko widzi i wszystko sobie za złe tłómaczy, wyszukując częstokroć w istotnie dobrem postępowaniu złe zamiary. Każde słowo niewinne, każde przyjazne spojrzenie gdzie ten, co patrzy bez uprzedzenia, samą tylko poczciwość i cnotę spostrzega, wzbudzają

podejrzenie zazdrosnego, a często nawet widzi w tem dowody niewierności.

Wszystkie te skutki zazdrości umiał przebiegły zbrodniarz w sercu Henryka wywołać i nieustannem staraniem utrzymywać i tak wzmocnić, że łatwo je można było spostrzedz w obcowaniu Henryka z małżonką. Miłość jego dla Ity zaczęła stygnąć, obchodzenie stało się wymuszonem, wyrazy jego stały się suche i rozkazujące i nie zwracał więcej swych spojrzeń ku swej małżonce, tak pierwej ukochanej. I chociaż Ita swem jak zwykle uprzejmem i ujmującem postępowaniem Henryka o swej niewinności przekonywała, stłumiając tym sposobem w jego sercu zazdrość, ową najzaciętszą nieprzyjaciółkę małżeńskiego szczęścia, zawsze ją Dominiko umiał wzbudzić na nowo, że jeszcze okropniej wybuchała, przedstawiając postępowanie Ity jako udanie, chytrość i oszukaństwo.

Ita, ta dusza, niezdolna ani oszukać, ani mieć kogoś w podejrzeniu, nie wiedziała, jak sobie ma tłómaczyć przyczyny tych boleści tak ciężko ją udręczających. Trawiła całe godziny smutku i tęsknoty przy pracy, szukała samotności, nieuskarzając się nikomu, jedynie tylko Bogu na swe cierpienia i od Niego błagając pociechy i pomocy. Czyste sumienie było dla niej najlepszym świadkiem niewinności; dla tego nie brakło jej strapionemu sercu ani pociech od Boga, ani niebieskiego wsparcia. Łatwo i cierpliwie znosiła własne cierpienia; więcej ją dolegało, iż ukochanego Henryka widziała cierpiącym. Nieraz modliła się za niego do Boga, aby ulżył jego boleści; nieraz starała się go rozweselić. Lecz słowa jej do serca, które zazdrość zapełnia nie mogły znaleźć przystępu, a Bóg chcąc wśród tych cierpień prawdziwej cnoty doświadczyć i zwycięztwa jej nad podstępami zbrodni i złości udzielić, dopuszczał to złe, bo z tego złego na przekór zamiarowi występnych miał tryumf cnoty wypłynąć.

Tak więc, ten który niezłomnej cnocie Ity życie swe i szczęście był dłużen, zniszczył jej szczęście małżeńskie i dni błogiego spokoju. Stratę tę wynadgradzała jej przynajmniej niewinność w obec Boga i spokój wewnętrzny duszy cnotliwej. Lecz Henryk, dręczony tysiącem łudzących myśli które złość ciągle umiała podniecać, nie mógł znaleźć żadnej pociechy ani wśród swego zamku, ani wewnątrz swego serca. Dominiko nieustannie pracował nad upadkiem Kuna i Ity, i cierpliwie oczekiwał sposobności stósownej, by spełnić powoli zemstę zaprzysiężoną.

ROZDZIAŁ VIII.

Ita gubi swój pierścień ślubny.

Chociaż w tak smutnem będąc położeniu nie zaniedbywała jednak Ita, jako pobożna i troskliwa gospodyni, ani najmniejszego z swych zwykłych zatrudnień domowych. Najpierwszem jej staraniem było aby ukochanemu Henrykowi na żadnej usłudze nie brakło; starała się także by gospodarstwo w porządku utrzymać. Dla siebie stawała się z wielu względów obojętną, niezaniedbując jednak niczego, o czem była przekonana, iż dla niej i dla położenia, w którem się znajdowała, mogło być potrzebne lub pożyteczne. Obojętność jej ku sobie samej można było poznać po jej ubiorze, który chociaż należyty i porządny, był jednak pojedyńczy i bez wszelkiego przepychu. Już wprzódy miała zwyczaj przywdziewać piękne i kosztownie suknie nie w tym zamiarze, aby w nich błyszczeć i wrażenie sprawiać, lecz jedynie tylko wtenczas, jeśli jej stan i okoliczności tego wymagały.

Piękne te ubiory najmniej już od roku leżały zamknięte w skrzyniach, a troskliwa Ita słusznie się lękała, aby nie zostały uszkodzone i nie popsuły się; postanowiła więc, w pierwszy piękny dzień wiosenny powykładać je na czyste ranne powietrze, aby się odświeżyły w promieniach słońca.

Zdarzył się wkrótce podobny pożądany dzień, w którym, co przedsięwzięła, mogła uskutecznić. Zorza poranku zaledwie zapowiadała rychły wschód słońca, a już Ita opuściła swą sypialnię i pootwierała okna zamkowe dla wpuszczenia promieni słonecznych i świeżego rannego powietrza. Stanęła na chwilę, przypatrując się z uwagą pięknej okolicy ze strony wschodniej zamku, polom, drzewom i krzakom cudnie ożywionym zielonością i wzrostem: widziała drzewa ozdobione pięknym kwiatem, przysłuchiwała się wesołym śpiewom czujnego ptactwa, głoszącego tysiącem lubych głosów cześć i sławę swego Wszechmocnego Stwórcy. Wzruszona głęboko tym wspaniałym widokiem, upadła na kola-

na, wzniosła oczy i ręce ku niebu, składając dzięki najlepszemu Ojcu za dzień tak piękny i inne darowane dni życia, oddała część Jego wszechmocy, mądrości i dobroci ojcowskiej, błagając oraz Jego ojcowskiej pomocy, by nią wsparta ten piękny dzień przeżyła po chrześciańsku i cnotliwie i aby uczynkami swemi uzyskała Jego zadowolnienie. W tych świętych myślach zatopiona sercem rozmawiała z Bogiem, wyszukując tymczasem rękoma kosztowne ubiory, aby je przewietrzyć i odświeżyć.

Swe kosztowności ułożyła pod otwartemi oknami zamku, gdzie błyszczały tak cudnie, jak słońce samo. Swe różnobarwne suknie porozwieszała i poukładała na przeciągu powietrza, a wśród tego wszystkiego zawsze jeszcze jej serce zajęte było pobożnemi myślami porannego nabożeństwa.

W tem wpadł jej w oczy z pośrodka kosztowności pierścień ślubny, który wywołał w niej wspomnienie pięknych dni przeszłości i wesołe chwile małżeńskiego szczęścia. Z westchnieniem spojrzała ku niebu — lecz spokojnie odwróciła swój wzrok od blasku złota i drogich kamieni, bo nigdy jej serce nie było zaślepione łudzącemi skarbami i bogactwami świata. Sumienie było dla niej świadkiem najpewniejszym, iż święcie wypełniała z swej strony obowiązki stanu małżeńskiego, nie dając nigdy powodu do podejrzenia i posądzeń. Poleciła więc jeszcze raz los swój Bogu, i spokojna i zadowolniona z ojcowskich zrządzeń Jego, udała się do swych codziennych zatrudnień domowych; i znowu można było w niej widzieć troskliwą, pracowitą panią domu w pośrodku swych podwładnych. O swe kosztowności nie lękała się całkiem, sądząc, iż były bezpieczne zupełnie dla tego, że pokój był zamknięty, a okna zamku, u których je porozkładała, wysokie.

Lecz dobra Ita omyliła się bardzo, ten albowiem tak piękny dzień stał się dla niej przez nieprzewidziany wypadek pozornie zgubnym, a zbrodni długo pożądane lecz także pozorne zwycięztwo uczynił możebnem.

Wśród rozmaitego ptactwa zamieszkującego wielki obok zamku leżący las, kruczym kamieniem zwany, znajdowało się wiele kruków, które mu zapewne, jako najznaczniejsi jego mieszkańcy nadały jego nazwę. Jeden z tych ptaków, które szczególną skłonność do kruszczów błyszczących posiadają, przelatywał około zamku Toggenburgskiego wtenczas, kiedy kosztowności Ity były rozłożone na słońcu. Spostrzegł je bystrym swym okiem, a skłonność wrodzona ciągła lot jego coraz bliżej ku otwartym oknom zamku; a gdy żaden stróż nie przeszkadzał, łatwo mu było porwać i unieść wygodnie z pośrodka innych kosztowności śliczny błyszczący pierścień ślubny hrabiny. Ucieszony z osiągniętej zdobyczy uleciał w las, i ukrył go głęboko w swem gniaździe.

Tak mimo wiedzy ludzi zamkowych ślubny pierścień Ity zaszedł aż do lasu. Ptak rozłączył niejako to małżeństwo porwaniem pierścienia, a nikomu zapewne na myśl nie przyszło, że Ita będzie się musiała udać niedługo za swym pierścieniem małżeńskim, i że przeniesienie pierścienia do lasu, stanie się niejako świętą wróżbą tego, że hrabina sama z tym lasem zaślubioną i uroczystem przyrzeczeniem zupełnie połączoną zostanie; tak dalece, że wedle jej własnej wiary nic innego, chyba tylko śmierć będzie ją mogła z nim rozłączyć.

Wieczorem dnia tego, który cały był tak piękny jak z rana, chciała Ita swe kosztowności i suknie pozbierać w porządku. Wszystko zastała tak, jak odeszła, tylko pierścienia ślubnego brakowało. Nie znalazł się oczywiście, choć go pilnie szukała. Wzrastający coraz bardziej smutek i zgryzota opanowały jej niewinne serce, a ponieważ sobie nie umiała tego zdarzenia w nijaki sposób wytłumaczyć, obawiała się, aby ogłoszenie tej bolesnej straty nie sprowadziło na nią jeszcze większego podejrzenia i nie przyczyniło jej boleści.

Milczała więc polecając tę sprawę swego serca tak jak wszelkie inne, w szczerej modlitwie Bogu, poddając się zupełnie pod Jego ojcowskie zarządzenie.

ROZDZIAŁ IX.

Kuno znachodzi na polowaniu pierścień ślubny Ity.

Niedługim czasem po zniknieniu ślubnego pierścienia Ity, wyszedł sobie był giermek Kuno na polowanie do lasu, kruczym kamieniem zwanego. Błąkając się z swymi myśliwskimi psami kilka godzin po lesie, zgniewał się wreszcie, że mu się nic nie udało upolować. W tem u-

słyszał w miernej odległości krzyk młodych kruków, a nie spodziewając się nic lepszego znaleźć, postanowił iść za krzykiem, wynaleźć młode i zabrać je, jeśliby były dojrzalsze. Za chwilę był blizko gniazda znajdującego się na wysokiej jodle. Wdrapał się na drzewo i znalazł młode zupełnie takie, jakich sobie życzył, już prawie na wylocie. Wesoło zabierał swą zdobycz, gdy nagle coś szczególnie błyszczącego na spodzie gniazda zwróciło jego uwagę. Uczuł niewinną radość, gdy znalazł prześliczny kamieniami wysadzany pierścień, którego wartości nawet nie umiał oznaczyć. Włożył go na palec, nie przeczuwając bynajmniej, że to pozorne szczęście sprowadzi na niego okropne skutki. Po powrocie do zamku opowiedział swym najzaufańszym towarzyszom, co go za szczęście spotkało, pokazał im znaleziony pierścień, nie wspominając jednak o tem swemu państwu ani słowa. Towarzysze jego nierozmyślni i nieostrożni jak i on nie przypomnieli mu, aby o znalezieniu pierścienia oznajmił. Powinien to był uczynić, bo rzecz znaleziona jest i zostanie zawsze cudzą własnością, którą istotnemu właścicielowi zwrócić starać my się powinni. Trzeba się samemu dowiadywać, a nie czekać, aż ktoś się będzie o swą zgubę pytał. A gdzież łatwiej było znaleźć właściciela takiej kosztowności, jak nie u samego państwa?

Właśnie zaś na nieostrożności, na błędach ludzi nierozmyślnych budują swe szczęście ludzie światowi, których ostry wzrok głęboko sięga. Częstokroć przebiegły zbrodniarz używa prostoty poczciwego za środek do dopięcia swych grzesznych zamiarów. Łatwo też spostrzegł chytry i oględny zbrodniarz Dominiko nadarzającą się bardzo dobrą dla niego sposobność. Widział wkrótce pierścień u Kuna na palcu, obejrzał go do woli, w czem mu niewinny giermek bynajmniej nie przeszkadzał, i poznał, że to był pierścień ślubny hrabiny; zamilczał to przed Kunem, wypytując się go tylko, jak przyszedł do tego pierścienia. Nie namyślał się długo; natychmiast udaje się do hrabiego, który ujrzawszy go już z jego miny mógł się spodziewać ważnych doniesień „Łaskawy Panie!" przemówił do hrabiego, „mam Waszej hrabskiej Mości coś bardzo ważnego w pokorze oznajmić, coś, co mię bolesnię dolega; nie wiem nawet, czyli mam mówić i jak mam me słowa ułożyć." Hrabia rozkazał mu mówić otwarcie, będąc, jak się wyraził, na wszystko przygotowanym, a Dominiko tak mówił dalej: „Łaskawy Panie! obawiam się więcej, niż kiedykolwiek, że rzeczy nie najlepiej stoją między Waszą małżonką i Kunem: widocznie albowiem okazują się oznaki, że żyją w zakazanych stosunkach. Nierozmyślny Kuno nosi na swym palcu bez obawy herbowy pierścień małżeński hrabiny który w dzień zaślubiń od Was miłościwy Panie! dostała." Ta nowina nabawiła strachem Henryka, wyrzekł więc: „Niech nas Bóg od tego zachowa! Nie podobna, aby Ita swój pierścień ślubny na palec służalca włożyła; nie myślę aby moja małżonka takiej zbrodni zdołała się dopuścić."

Dominiko, pewny swego, odezwał się na to: „Abyś się miłościwy Panie sam przekonał, że prawdę mówię, chciej rozkazać, a przywołam giermka do Ciebie," a gdy Henryk na to zezwolił i giermek stanął przed nim, Dominiko, który poznał, iż wściekły gniew opanował Henryka, ściągnął pierścień z palca Kuna, podał go hrabiemu, mówiąc: „Chciej miłościwy Panie obaczyć własnemi oczyma, czyli to nie jest ów drogiemi kamieniami wysadzany pierścień, któryście dali hrabinie w dzień wesela." Henryk przypatrując się pierścieniowi z zwrastającym gniewem, poznał go dobrze; namiętnością opanowany i wszelkiej rozwagi niezdolny, uwierzył oszczerczym posądzeniom Dominika. W pierwszym napadzie wściekłości hrabia nie mógł słowa z ust wydobyć, a Kuno, widząc okropne znaki tej namiętności, zaiskrzone oczy, zgrzytanie zębami, chciał w przestrachu szczerem opowiedzeniem całego zdarzenia dowieść swą niewinność.

Lecz właśnie w tej chwili wybuchł wściekły gniew Henryka; stał się głuchym na wszelkie uniewinnienia i prośby, oburzony w głębi swej duszy. Piorunującemi słowy zaczął wyrzucać niewinnemu giermkowi cudzołóztwo, nazywając go przeniewierczym, bezwstydnym i niegodziwym łotrem; i z naruszeniem wszelkiego prawa zwyczaju bez wysłuchania go wprzód, skazał go na śmierć okrutną. Kuno chociaż ciągle przysięgał iż niewinny, chociaż ze łzami błagał, aby wysłuchano jego uniewinnienia, został na rozkaz hrabiego przywiązany do ogona najdzikszemu koniowi, który spłoszony ze skały zamkowej nieszczęśliwego giermka okropnie po kamieniach i krzakach ciskając, wreszcie na śmierć roztratował.

Takto ten wierny sługa Henryka, którego żonie sławę i niewinność ocalił, zakończył swe życie z powodu małego uchybienia, z zarzutem niewiernego kaziciela łoża małżeńskiego. Lecz Bóg najwyższy, który sądzi nie wedle pozorów, znając najskrytsze myśli serc naszych, przebaczył mu zapewne ten błąd nierozwagi, i udzielił mocy niebieskiej w trudnych chwilach śmiertelnej walki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

(Dokończenie.)

SZEWC MARCIN BRACISZKIEM KLASZTORNYM.

Westchnął szewc głęboko, ale darmo, nie ma rady, wziął łopatę i kopał do śniadania. Na śniadanie dano mu talerz wodzianki. Potem kopał do południa. Na obiad zjadł trochę kaszy na wodzie i buraków drobno siekanych, i znów kopał do wieczora, na wieczerzę dano mu kromeczkę chleba i ziemniaków. Z początku i tego nie mógł zjeść, co mu dano, bo żołądek spalony gorzałką nie był w stanie trawić, później jednak nieraz czuł, że to jadło mu nie wystarcza.

Robota w ogrodzie męczyła Marcina, i często obcierając pot z czoła, pomyślał: bodaj się święciło szewskie szydło. Wolałbym był jednak i dwa razy już tyle w ogrodzie robić, niż uczyć się na pamięć ministrantury, służyć do mszy św. i t. d. Wszystkiego się przecież powoli nauczył. Sprzątał po kościele, służył do mszy św. Przy nieustannem zajęciu czas prędko mu schodził, i Marcin przyzwyczaiwszy się do życia klasztornego, począł naprawdę powątpiewać, że on jest szewcem Marcinem. Na wszystko byłby się zgodził, tylko to go korciło, że oprócz wody żadnego innego nie widział trunku. Nieraz takie pragnienie miał do gorzałki, że mu się zdawało, iż zginie, jeżeli mu kto choć kieliszka wódki nie poda. Poznawszy się z stróżem klasztornym począł go namawiać, aby mu wódki przyniósł, ale stróż słysząc to rzekł: „Chociażby mi jegomość nie wiem co dał, tobym tego nie zrobił, bobym za to utracił służbę w klasztorze, a Jegomość musiałby odprawić srogą pokutę w ciemnej celi."

Usłyszawszy taką przestrogę, porzucił Marcin na zawsze myśl o gorzałce i zła żądza do niej przestała go niepokoić. Im dłużej był w klasztorze, tem bardziej stawał się we wszystkiem uległym i posłusznym. Robił z chęcią, co mu kazano i co dzień wszystkim księżom służył do mszy św., przy której nieraz gorąco ze łzami się modlił, prosząc Boga o łaskę wytrwania w dobrem, a przytem często błagał Boga, aby oświecił jego rozum, żeby sobie mógł przypomnieć, czyli on jest bratem Hilarym, jak go wszyscy w klasztorze nazywali, czy też szewcem Marcinem.

Już drugi miesiąc upłynął, odkąd szewc Marcin był w klasztorze. Marcinowej poczęło się bez męża przykrzyć. Pewnego więc dnia zabrała się i poszła do klasztoru na mszę św., a myślała sobie, żeby i męża zobaczyć, jak on tam wygląda po zakonnemu. Gdy weszła do kościoła, widzi jak ksiądz odprawia mszę św., a mąż klęczy pobożnie i służy mu. Aby mo-

gła lepiej męża oglądać, zbliżyła słę do ołtarza, uklękła i modliła się.

Brat Hilary, przenosząc mszał na drugą stronę ołtarza, spostrzegł klęczącą żonę. Po chwili gdy klęczał na stopniu, zwraca się twarzą do niej i pyta jej cicho:

— Pani Marcinowa, a czy pan majster Marcin jest w domu?

Marcinowa niezmieszana tem niespodzianem zapytaniem odpowiada:

— Jest proszę Jegomości, zostawiłam go w domu przy warsztacie.

Słysząc to Marcin, przestał wątpić, że jest bratem Hilarym i odtąd oddał się całkiem życiu zakonnemu.

Ksiądz gwardyan, w czasie pobytu Marcina w klasztorze, miał ciągle na niego pilne oko; gdy zaś zauważył, że szewc zupełnie się poprawił, postanowił go wypuścić z klasztoru, a to tem chętniej, gdyż żona prosiła go, by męża uwolnił, jeżeli uważa, że się odmienił, bo jej ciężko samej na dzieci pracować.

Raz więc wezwał X. gwardyan Marcina do siebie. Tu po ojcowsku przedstawił mu okropne skutki pijaństwa: nędzę żony i dzieci i utratę rozumu. Wytłómaczył mu przytem, że z miłości dla niego i z litości nad nędzą jego rodziny, użył tego środka, aby go odwieść od strasznego grzechu pijaństwa, uratować jego duszę z piekła, a rodzinie zabezpieczyć spokój i pomyślność na dalsze lata. Marcin z płaczem słuchał tej nauki X. gwardyana, upadł do nóg jego, serdecznie dziękując za wszystkie dobrodziejstwa, i przyrzekając, że odtąd innym będzie człowiekiem, prosił przytem, aby mógł jeszcze w klasztorze przed odejściem odprawić spowiedź św. z całego życia i przyjąć Najśw. Sakrament.

Z największą chęcią zezwolił na to X. gwardyan, jakoż Marcin na drugi dzień z prawdziwą skruchą przyjął św. Sakramenta, poczem uroczyście ślubował trzeźwość.

Odchodzącego z klasztoru odprowadził X. gwardyan sam do domu, i oddał nawróconego męża ucieszonej żonie. Teraz rozpłakał się rzewnie Marcin, przepraszając żonę za dawne życie, rozpłakała się i żona, przebaczając wszystko swemu mężowi, płakały i dzieci, że po długiem niewidzeniu ojca znów oglądały, a temu płaczowi błogosławił X. gwardyan, bo ten płacz był zadatkiem przyszłej pomyślności i szczęścia całej rodziny.

Szewc Marcin był odtąd pracowitym rzemieślnikiem, wzorowym mężem i czułym ojcem dla dziatek. W każdą niedzielę i święto służył regularnie w klasztorze do mszy św. i Bóg mu pozwolił doczekać tego szczęścia, że oglądał jednego swego syna księdzem, a drugiego wysokim urzędnikiem.

KONIEC.

DODATEK DO HISTORYI STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

(Dokończenie.)

Meksyk i Ameryka Środkowa.

Meksyk był w czasie odkrycia Ameryki wielkiem cesarstwem zwanem Anahuac. Lud był znacznie ucywilizowanym, posiadał wielkie miasta, piękne budynki, niezmierne pomniki, znał niektóre sztuki piękne i miał uregulowany rząd.

Hiszpanie poznawszy kraj ten, postanowili go podbić. Hermando Cortez wylądował na wybrze-

żu na czele 600 ludzi i udał się w drogę do Mexico, noszącą wtenczas nazwę Tenochtitlan. Cesarzem był Montezuma. Przez zdradę i odwagę zdobył Cortez cały Meksyk, który do posiadłości hiszpańskich przyłączył i nazwał Nową Hiszpanią, która przez trzy wieki pod zwierzchnictwem Hiszpanii pozostawała. Pomimo iż liczba krajowców znacz nie się zmniejszyła, pozostało ich jednak jeszcze kilka milionów, którzy powiększej części przywłaszczyli sobie hiszpańskie zwyczaje i obyczaje i przyjęli religię katolicką, zatrzymując przytem wiele dawniejszych zabobonów.

W roku 1803 zbuntował się lud meksykański przeciw rządowi hiszpańskiemu i postanowił zrzucić jarzmo obce. W roku 1813 kongres narodowy ogłosił Meksyk niepodległym. Hiszpania usiłowała wszelkiemi siłami zgnieść powstanie, lecz nadaremnie. Walka toczyła się aż do roku 1821, kiedy armia hiszpańska opuściła kraj.

Od tego czasu inne mocarstwa jako i Hiszpania uznały niepodległość Meksyku, w którym jednakowoż wciąż panują rozruchy i rewolucye. Zarząd jest republikańskim, lecz konstytucya została po kilka razy już zmienioną.

W roku 1864 arcyksiąże austryacki Maksymilian za pomocą bagnetów francuzkich został ogłoszony cesarzem meksykańskim, lecz cesarstwo w roku 1867 zostało zniesione przez republikanów pod dowództwem jenerała Juarez, Maksymilian został wzięty w niewolę i skazany na śmierć a rzeczpospolita przywróconą.

Meksyk liczy około dziewięć milionów mieszkańców Indyan i mieszańców po większej części.

Stan Texas należał także dawniej do Meksyku, lecz odłączył się od niego pomimo zabiegów rządu meksykańskiego i został przez Stany Zjednoczone, Anglią i inne mocarstwa uznany za rzeczpospolitą niezależną.

G u a t e m a l a czyli A m e r y k a Ś r o d k o w a zajmuje większą część przesmyku łączącego Amerykę północną z Ameryką południową. W czasie podbicia Meksyku przez Hiszpanów, był kraj ten gęsto zaludniony przez Indyan nazwanych Quiches, którzy posiadali wiele znaczniejszych miast i ten sam prawie stopień cywilizacyi, co i Meksykanie.

Podbitymi zostali przez Alvarado w tym celu przez Corteza wysłanym i kraj stał się prowincyą hiszpańską, którą pozostawał aż do czasu, kiedy Meksykanie poczęli zrzucać jarzmo hiszpańskie, i lud tego kraju uczynił toż samo i uzyskawszy niepodległość, ustanowił zarząd republikański pod nazwą „Stany Zjednoczone Ameryki Środkowej“, któremi były: Honduras, Guatemala, San Salvador, Nicaragua i Costa Rica. Niezadługo wybuchły pomiędzy pojedyńczymi stanami nieporozumienia i kroki nieprzyjazne, wskutek czego rozłączyły się w r. 1839, każdy stan tworząc osobną rzeczpospolitą. Od tego czasu zachodzą tam wciąż prawie rozruchy wewnętrne i panuje anarchia.

Ameryka Południowa.

Columbus odkrył stały ląd południowej Ameryki w r. 1498. Wybrzeże jej odwiedził w r. 1499 Vespucius jako i Pinzon. W r. 1513 przebył Balboa przesmyk panamski i był pierwszym Europejczykiem, który patrzał na ocean spokojny. Niełatwo nam wyobrazić sobie uczucie, jakiego doznawali ci, którzy po pierwszy raz przybyli do Ameryki i znaleźli tu zupełnie inny lud i inne produkta — najpiękniejsze kwiaty, korzenie, owoce, ptaki i t. d. — w ogóle wszystko to, czego jeszcze nie widzieli. Złoto zwłaszcza było tym przedmiotem, którego szukali, lecz nigdzie go nie znaleźli wyjąwszy w dwóch przypadkach.

Cortez znalazł niezmierne skarby w Meksyku, lecz o wiele większe jeszcze odkrył inny awanturnik Pizarro. Peru odkryto w r. 1515, a Pizarro, odważny żołnierz postanowił kraj ten zdobyć. Na czele małego oddziału przybył tam i znalazł niezmierne cesarstwo, którem zarządzali tak nazwani Incas — Dzieci słońca. Lud był spokojnym, mieszkający w wielkich i pięknych miastach, trudniący się po większej części rolnictwem. Panującym cesarzem czyli księciem, był Atahualpa. Pizarro, zaprosiwszy go wraz z jego świtą na konferencyę, kazał uwięzić, podczas gdy artylerya hiszpańska i strzelby niosły śmierć ludowi. Uwięziony Inca ofiarował się wykupić, obiecując złota tyle, ile się zmieści w pokoju, w którym był uwięziony. Propozycya została przyjętą i lud począł znosić złoto ze wszyskich stron. Nazbierało się go w wartości przeszło dol. 2,000,000. Gdy Atahualpa zażądał następnie swej wolności, kazał Pizarro odebrać mu życie, poczem podbiwszy kraj, założył miasto Lima i stał się gubernatorem kraju. Lecz złoto i potęga w taki sposób uzyskane nie przydały mu się na nic, gdyż został zamordowany przez własnych towarzyszów.

Peru pozostawało prowincyą hiszpańską przez długie wieki i przyjęło zwyczaje i obyczaje hiszpańskie. W r. 1821 ogłosił kraj ten swą niepodległość, którą też po długiej walce uzyskał.

Bolivia leżąca pomiędzy Peru i Chile odłączyła się od Peru w r. 1825 i stała się po zaciętej walce niezależną rzecząpospolitą. Boliver wypracował dla nowego kraju konstytucyę a lud wdzię-

czny iż go oswobodził, nadał nowej rzeczypospolitej nazwę oswobodziciela.

Chili zostało podbite przez Almagro, towarzysza Pizarra w r. 1537. Przybył z małym oddziałem i został mile przyjętym, lecz wkrótce dla złego postępowania, zmuszony był do ustąpienia z kraju. W r. 1540 przybył Valdivia z inną armią, lecz został pobity przez krajowców zwanych Araucanians, uwięziony i skazany na śmierć. Hiszpanie zajęli jednakowoż wybrzeże, lecz Araucanians są do dziś dnia niezależnymi. Chile pozostawało prowincyą hiszpańską aż do roku 1810; w tym roku ogłosił lud swą niepodległość, którą dopiero w roku 1817 uzyskał.

Od Chili aż do przylądka Horn znajduje się kraj Patagonia, w którym panuje po większej części zima, a który jest nieżyznym i skalistym. Zamieszkują go koczujące dzikie plemiona, z których najsławniejsi są Patagończycy sluszni i olbrzymich postaci. Nad wybrzeżem zaś przylądka Horn, mieszka inne plemię znane pod nazwą Fuegians.

Rzeczpospolita argentyńska, znana dawniej pod nazwą Buenos Ayres leży pomiędzy Chile, Paraguay, Atlantykiem i Brazylią. Dawniej należała także do Hiszpanii, której była prowincyą aż do roku 1811, kiedy lud postanowił sam sobą rządzić. Od tego czasu panują tam wciąż bunty i rewolucye.

Paraguay. jeden z najpiękniejszych krajów świata, został także zabrany przez hordy hiszpańskie. Jezuici starali się zaprowadzić cywilizacyę pomiędzy tamtejszymi Indyanami. Indyanie mieli już nareszcie własne szkoły, uczyli się śpiewu i zrobili w nim dość znaczne postępy, lecz Jezuici zostali wygnani w r. 1767 a Indyanie popadli znów w barbarzyństwo. Kiedy prowincye Buenos Ayres zrzuciły w r. 1810 jarzmo hiszpańskie, lud paraguajski nie uznał ich zwierzchnictwa i wybrał własny zarząd. W r. 1814 dr. Francia przywłaszczył sobie dyktatorstwo, które dzierzył aż do śmierci swej w r. 1842.

Po jego śmierci zarządzała krajem tak nazwana „junta", złożona z pięciu członków, a później z dwóch aż do r. 1846, kiedy Carlos Antonio Lopez został obrany prezydentem na całe życie. W roku 1858 uderzono w jednym z portów paraguajskich na amerykański okręt Waterwitch, wskutek czego powstały nieporozumienia a Stany Zjednoczone wysłały ekspedycyę dla żądania zadosyćuczynienia, które też osiągnęły. Lopez umarł w roku 1862 a syn jego Francisco Solano Lopez zajął jego miejsce.

Uruguay, także prowincya należąca do Buenos Ayres stala się niepodległą w r. 1812 i jest najmniejszą rzecząpospolitą południowej Ameryki.

Brazylia obejmująca trzecią część południowej Ameryki i mająca obszar tak wielki, jak trzy ćwiercie części Europy, została osiedloną przez Portugalczyków w r. 1500 i szybko wzrastała w ludność. Gubernatorzy rządzili tym krajem aż do roku 1806, kiedy król portugalski uciekł do niego zmuszony do tego przez Francuzów, którzy wkroczyli do Portugalii. Powrócił do niej dopiero w r. 1821 pozostawiając syna swego na tronie brazylijskim. Niezależnem cesarstwem jest Brazylia od roku 1823.

Guiana leżąca po nad wybrzeżem północno wschodniem jest podzieloną pomiędzy Holandczyków, Francuzów i Anglików. Historya tego kraju nie przedstawia nic ciekawego.

Na północ Peruvii i Brazylii leżą trzy rzeczypospolite: Ecuador, Zjednoczone Stany Colombii i Venezuela. I te panstwa należały kiedyś do Hiszpanii, lecz zrzuciły jarzmo w tym samym czasie, co i inne prowincye. W walkach, które wynikły, odznaczył się słynny Simon Bolivar; trzy rzeczypospolite połączyły się pod jednym rządem i przybrały nazwę Colombia w r. 1809 a Bolivar, któremu nadano tytuł „Liberatora", został obrany prezydentem. Później atoli unia ta została rozerwaną, a dzisiaj istnieją tam trzy odrębne rządy.

Na tem kończymy krótki przegląd krajów amerykańskich po za obrębem Stanów Zjednoczonych.